



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kawiarniach pism periodycznych po cenie:
rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35,
miesięcznie kop. 45.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca HIPOLIT ORGELBRAND.

Expedytorka główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego
kwartal: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie:
flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W.-Ks. Poznańskim: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½,
na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

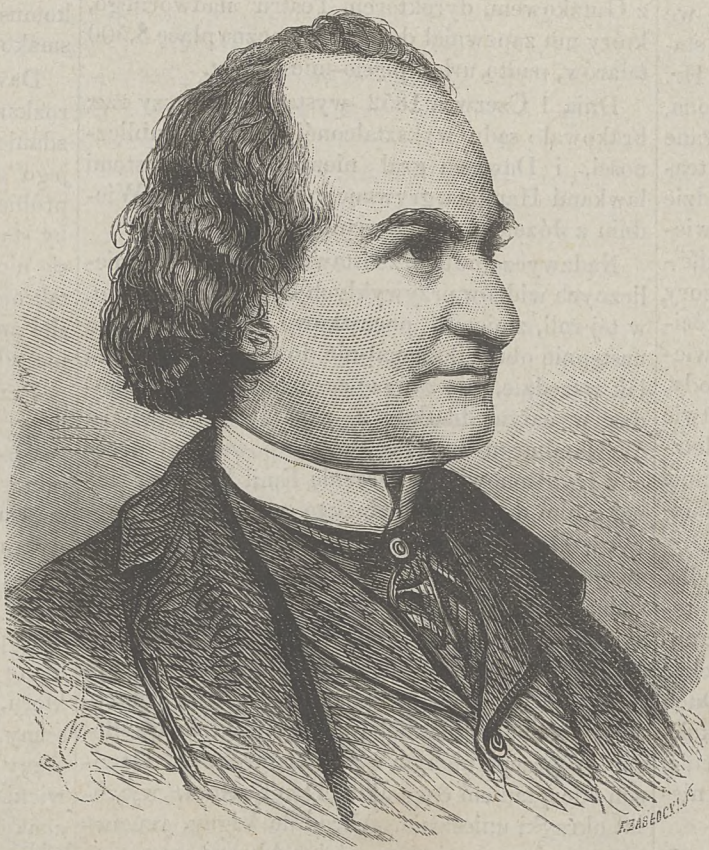
BOGUMIŁ DAWISON.

I znowu ze szczupłego grona znakomitości artystycznych, śmierć wydarła jedną, której kolebka była Warszawa, której rozgłos talentu zapełnił niemal Europę, a szczątki ostatnie grób ukrył na wieki.

Dnia 1 Lutego umarł w Dreźnie Bogumił Dawison, przez niektórych głębszych krytyków niemieckich zwany sprawiedliwie reformatorem sztuki dramatycznej. Nie można mu bowiem odmówić zasługi, że wielkie w niej zaszczyt zmiany, od chwili, kiedy zerwawszy z powagą podaną, odrzuciwszy zużyte środki i sposoby grania, pozostawione przez Lessynga, Schrödera, Ifflanda i t. p. twórczą wsparty siłą, nową otworzył drogę prawdzie, naturze i pięknu. Podania były tak ogólne i tak przystępne, że nawet mierność postępująca wskazanym przez nie śladem, mogła się odznaczyć, i krzewiąc bez trudu niesmaczne i zgubne naśladownictwo, wabiły nieudolność, stając się więzami dla prawdziwego talentu. Z początku potępiano wprawdzie śmiało targnięcie się Dawisona na uświęcone latami zwyczaje, nazywając zuchwalstwem torowanie sobie nowej drogi; razila nawet różnica, ale zwolna prawda odnosiła zwycięstwo nad uprzedzeniem, wyższa zdolność nad rutyną. I to dziś stanowi największą zasługę Dawisona, że zawiść, najszcześliwszą kiedy może wysunąć kamień z pod posągu sławy, zmusił do milczenia, a zawistnych do wstąpienia na wskazaną przez niego drogę; albowiem opinia, która z razu powstawała przeciw reformatorowi dziś

nazywa zacofanymi tych, którzyby z ujmą prawdy, nie chcieli wstąpić na tę drogę. Dawisonowi zawdzięcza sztuka dramatyczna tak stanowczo, samodzielnie wprowadzoną przemianę. Wprawdzie nie możemy go nazwać z innymi twórcą nowej szkoły: nie tak łatwo naśladować go; trzeba

nauczycielami. Lecz chcąc bliżej się z nim zapoznać, a zwłaszcza teraz, kiedy już po nim pamięć tylko zostaje, wróćmy do jego lat młodych, aby choć pobieżnie przypatrzeć się tej walce życia z przeciwnościami, w której nie jeden ginie nie znany, a z której Dawison wyszedł z chlubą.



Bogumił Dawison.

Bogumił urodził się w Warszawie d. 15 maja 1818 r., z ubogich rodziców starozakonnych, którzy przy całym przywiązaniu, jakie mieli do niego, pracując ciężko na utrzymanie życia, w braku często najpierwszych potrzeb, nie mogli mu dać odpowiedniego wykształcenia. Dwunastoletni chłopiec, ukończywszy zaledwie kilka klas, musiał już myśleć nie tylko o codziennym swoim chlebie, ale po części i o utrzymaniu biednej matki. Pismo piękne i poprawne było pierwszym środkiem zarobkowania. Później ówczesny Redaktor Gazety Warszawskiej (p. Krupski), widząc niezwykle zdolności w młodym Bogumile i chęć wielką do nauki, dał mu miejsce korektora przy drukarni, i udzielał rozmaitych książek, aby w chwilach wolnych od obowiązkowego zatrudnienia, pracował nad swoim wykształceniem umysłowym, uzupełniając brak nauki. Dawison, czytając pilnie i wiele, nie opuszczał żadnej sposobności, któraby mu przyszłość zapewnić mogła. Nauczył się sztuki zecerskiej, aby na wszelki wypadek mieć w potrzebie jedną pomoc więcej.

Czytanie krytycznych pism obcych usposobiło go tak, że mu powierzano sprawozdania z teatrów niemieckich, francuzkich i angielskich. To obudziło w nim chęć do teatru, i w roku 1835 wszedł do szkoły dramatycznej, której Kudlicz był nauczycielem. Po dwu latach wystąpił na

która dłużej nauki i głębokich studyów,—bo i on sam uczył się długo i gorąco nim zerwał z dawnymi

(63).

scenę; publiczność przyjęła go dosyć przychylnie; ale nieszczęśliwy wypadek jego matki, właśnie przed rozpoczęciem widowiska, boleść, że wróciwszy do domu nie miał jęj za co ratować, namowy Schmidtkowa, dyrektora teatru wileńskiego, który mu ofiarował dwa razy większe wynagrodzenie, niż spodziewane w teatrze warszawskim—a nadewszystko znaczne zaliczenie, skłoniły go do przyjęcia miejsca w teatrze wileńskim.

Dwuletni jego pobyt w nielicznym towarzystwie aktorów, zniewalając do grywania ról wszelkiego rodzaju, stał się dla niego praktyczną szkołą i polem do rozwinięcia wszechstronnych zdolności, które później tak w nim podziwiano.

Po rozwiązaniu się towarzystwa Schmidtkowa, Dawison wrócił do Warszawy, w nadziei, że teraz chętnie przyjmą doświadczonego już artystę, kiedy już w uczniu dostrzegano nieposłednie zdolności. Ale zawiedziony w oczekiwaniu, po występie w dniu 19 Września na scenie Teatru Wielkiego w dramacie Ritta, wyjechał do Lwowa.

Hr. Skarbek, właściciel i dyrektor nowo zbudowanego własnym kosztem teatru, przeniknął w młodym zwolenniku sztuki rzeczywisty talent i powierzył mu reżysseryę sceny. Niepodobało się to dawniejszym w służbie współtowarzyszom, i wkrótce nowy reżysser uczuł dotkliwie swoją przewinę, że nie dorównywał im wiekiem. Trochę i przykrościami nekany, całą znajdował pociechę w artystach niemieckich, i kiedy ziomekowie szydzili, naigrawali się z niego, Niemcy oceniając go sprawiedliwie, przepowiadali mu wysokie zdolności dramatyczne.

Pamiętając słowa Balzac'a: „że pochwała jest wysileniem ludzi,“ nie wymagał jęj od swoich kolegów, ale uznania jedynie pracy i usiłowań. Daremnie. Dotkliwie i ciągle prześladowanie, nasunęło mu myśl zostania niemieckim aktorem. I jak tylko ta myśl zrodziła się w nim, z wiarą, wytrwaniem, odwagą wyższego umysłu, lubo z żalem, zaczął pielegnować tę nadzieję pomysłniejszej przyszłości na obcej scenie. Czytanie klasyków niemieckich i gościnne występy we Lwowie Löwego, Retticha, skłoniły go do stanowczego kroku opuszczenia sceny polskiej. Hr. Skarbek, niezmiennie życzliwy dla Dawisona, pragnąc mu wynagrodzić niejako doznaną przykrość, wysłał go na zwiedzenie obcych teatrów — w przekonaniu, że podróż ta nie będzie bez wpływu i na dobro sceny, której mu powierzył kierunek. Dawison studyował pilnie Bouffé'go, Lemaitra, Samsona, zbierał skrzętnie wzory z najlepszych artystów niemieckich. Powróciwszy do Lwowa z niewzruszonym postanowieniem, które za nie waży wszelkie przeszkody, dnia 9 sierpnia 1841 r. wystąpił w towarzystwie niemieckim w komedii Bauernfelda: „Das letzte Abenteuer“ (Ostatnia przygoda), następnie w tragedji Szyllera: Intryga i Miłość i w dramacie Laube'go: Monaldeschi.

Lubo próba dosyć szczęśliwie się powiodła, Dawison pozostał tymczasowo przy polskim teatrze. Jednakże przykrości bez przerwy zmuszały go do stanowczego wyboru, bo narzekać ciągle i utyskiwać uważał za niedołęztwo. Duch jego rwał się do bogactw dzieł, których okoliczności nie pozwalały przyswoić polskiej scenie; opuścił więc potajemnie Lwów, aby zostać niemieckim aktorem.

Dyrektorowie scen Wrocławia i Szczecina odmówili mu występień, radząc jechać do pomniejszych teatrów. Pod ciężarem życia od lat najmłodszych, walką z przeciwnościami wyrobił w sobie odwagę i moc duszy; lubo zawstydzony,

lecz nie złamany pierwszym niepowodzeniem, pojechał do Berlina.

List jednego z artystów Teatru Warszawskiego ułatwił mu poznanie z Ludwikiem Schneiderem, jednym z pierwszych wówczas artystów nadwornych teatrów. Przyjęty nader życzliwie i przychylnie, otrzymał od niego wejście bezpłatne na sześć miesięcy do wszystkich teatrów w stolicy. Przez ten czas Dawison pracował usilnie nad wymową, aby na niemieckiej scenie nie usłyszano w nim obcego. Następnie Schneider polecił go p. Maurice, dyrektorowi teatru Thalia w Hamburgu, który na jego zapewnienie zezwolił na role gościnne.

Jakoż dnia 13 Lutego 1847 r. Dawison wystąpił pierwszy raz w roli Hans Jürge, w dramie Holteja i Zolskiego, w Starym Studencie. Po tej pierwszej próbie p. Maurice ugodził się z Dawisonem na 32 przedstawienia.

Po dwu tygodniach już Hamburg cały brzmiał pochwałami młodego debutanta. Berlin i Drezno wzywały go do siebie; ale wdzięczny i trwóży jeszcze pozostał w Hamburgu do r. 1849.

Dopiero na wezwanie Holbeina, dyrektora nadwornego Teatru pojechał do Wiednia. Ale już Henryk Laube zajął miejsce Holbeina. Po odegraniu przez Dawisona ról wstępnych, hr. Lanckoroński, intendent cesarskich teatrów, na przedstawienie Laube'go, zaliczył go do grona artystów tego Teatru.

Zaszczyt to wielki, ale Dawison nie mogąc przywyknąć do kierunku i uwag nieco surowych dyrektora, pomimo zawartej umowy, zapewniającej mu miejsce do śmierci (z płacą roczną 7,500 guld. 4,500 rubli) i nominacji na artystę cesarsko królewskiego, po zajęciu niemiłym między nim i dyrektorem, a zwłaszcza po wystąpieniach gościnnych w Dreźnie i Monachium, gdzie go z największym przyjmowano zapalem, pragnął opuścić Wiedeń, w którym publiczność i krytyka przemawiała o nim za chłodno.

W roku 1853, prosił o uwolnienie zupełne. Przeniósł się do Dreznia zawarłszy kontrakt z Gutzkowem, dyrektorem Teatru nadwornego, który mu zapewniał do śmierci roczną płacę 3,500 talarów, nadto urlop pięcio-miesięczny.

Dnia 1 Czerwca 1852 wystąpił pierwszy raz; brakowało sądu wykształconej zimowej publiczności, i Dawison grał niemal przed pustymi ławkami Hamleta, grywanego naprzemian w Wiedniu z Józefem Wagnerem.

Nadzwyczajne to przedstawienie, ciekawość nie licznym widzów przywykłych do Emila Devrient, w tej roli, zmieniło początkowo w zdumienie, a następnie obudziło zapal nie do opisania. Ale i tu jak wszędzie, nie zawsze zasługa i talent wychodzą w całym blasku z zapasów z zawieszoną. W Hamburgu krytyk Baisan powstawał przeciw Dawisonowi, w Dreźnie Emil Devrient stanął z nim do walki. Jednakże sam Dawison pobyt w Dreźnie zaliczał do najszcześniejszych dni swojego życia, których pasmo przerwała boleśnie śmierć ukochanej małżonki Wandy ze Starzewskich.—Życie syna okupiła własnym życiem.

Ze zranionym sercem, korzystając z urlopu, wyjechał do Paryża, zaproszony na wielką uroczystość obchodu stułetniej rocznicy urodzin Szyllera. W przepełnionym cyrku Cesarzowej, Dawison odczytaniem 3-go aktu Don Carlosa, wywołał okrzyki uniesienia. Alfred de Vigny, rzuciwszy mu się na szyję, zawołał: Ah, que votre patrie est heureuse, d'avoir un si grand tragedien!

Obiegały pogłoski, że się poświęci francuskiej scenie, że stanie na czele teatru niemieckiego w Paryżu; ale Dawison zobowiązał się do szeregu ról gościnnych w Berlinie, udał się do stolicy Pruss.

regu ról gościnnych w Berlinie, udał się do stolicy Pruss.

Tłumy cisnęły się na każde jego przedstawienie, przyjmując z bezprzykładnym entuzjazmem. Takiego samego przyjęcia doznał i w Lipsku.

Powróciwszy do Dreznia, gdy stosunki jego z kolegami stawały się coraz drażliwszymi, nie do zniesienia, opuścił Drezno w r. 1864, oddawszy się zupełnie w ręce towarzystwa tragicznych wirtuozów, które weszło w modę jak niegdyś kwitnąca spółka fortepianu, harfy, wiolonczelli i skrzypiec.

Tę spółkę podróżującą zaczęła Rachel, po niej Ristori, Pani Seebach, z kolei Dawison. Dyrekcyje wszystkich niemal teatrów upędyły się na wyścigi o posiadanie na niejaki czas Dawisona, który napełniał ich sale, zmieniał obojętność publiczności dla teatru, niosąc razem bajeczne pieniężne korzyści.

Najważniejszą przecieży epokę w jego wycieczkach artystycznych stanowi podróż odbyta w r. 1866—7 do Ameryki północnej. Były to złote wieczory w new-Yorkim Teatrze na Růvery. Właśnie w tej części miasta żyje przeszło 200,000 Niemców. Tak nędzny i opuszczony teatr, mimo niewyznacznie podwyższonych cen, był ciągle przepełniony, ile tylko razy grał Dawison, odniosłszy stanowcze zwycięstwo nad najsławniejszymi tragicami amerykańskimi.

23 Maja 1867 r. opuścił Dawison Nowy-York, 5 Czerwca przybył szczęśliwie do Bremy.

(Za 76 występień w 30 odmiennych rolach otrzymał z części na niego przypadłej 49,059 dolarów i 77 centów, a przedstawienie Leara na benefis przyniosło artyście 3,212 dolarów).

Nie wszędzie krytyka w sądzie o Dawisonie była wolną od stronności; przecieży w ogóle przyznawano mu talent wyższy nad wszelkie pochwały; w Hollandyi nazywano go: Rembrandtem sztuki dramatycznej.

Ale bo też nie tak łatwo jakby się zdawać mogło wydać sąd o zbiorowej grze aktora. Trzeba go widzieć; powiedzieć jak grał, jest to pokazać komuś malowane ciastko, aby wiedział jak nam smakowało.

Dawison miał rzadką władzę nad szczegółami, rozkazywał punktom, przecinkom, panował nad zdaniem, wierszem nie psując nigdy. Główną jego zasadą było tak umieć rolę na pierwszej próbie, żeby sufler milczał, nawet wtenczas gdyby stanął. Ta zewnętrzna swoboda, zdawała mu się nieodzownie potrzebną do nabycia wewnętrznej, tak nieodzownej duchowi roli. Według niego, siła zmuszona rozdzielać się między suflera i rolę, nie zdolna wytworzyć całości.

Przecieży Dawison wyznawał sam otwarcie, że przy pierwszym przedstawieniu roli, nie był jeszcze zupełnie na wysokości umysłonego charakteru. Rola stworzona za pierwszym razem, mawiał, była albo sztuką koncertową, albo prostym mechanizmem. On śledził człowieka, którego przedstawiał właśnie w czasie gry. Zewnętrzne zarysy, główny związek charakteru już były ujęte, ale tajemna gra sił, wszystkie powikłane ruchy aż do istotnych czynników charakteru, ukazywały mu się dopiero przy świetle sceny. I dla tego rola jego rosła stopniowo od sceny do sceny, od aktu do aktu, od przedstawienia do przedstawienia, i stawała się coraz znakomitszą i doskonalszą im dłużej ją grywał. Charakter układał się z całą swobodą, także się stawał nim samym, i wtenczas można było powtórzyć o nim, co Gwido Reni wyrzekł o Rubensie: „On miesza krew do farb swoich.“

Wszystkie role demoniczne, w których duch

panuje nad namiętnością i wyzyskuje ją, były jego nieograniczoną dziedzina.

Głos Dawisona nie był zbyt obszerną skalą, nie był pełnym, nakazującym, ale ostrym, jasnym, donośnym, giętkim, i jak doskonały wirtuoz na instrumencie, tak on umiał nim władać po mistrzowski; każdy odcień miał swój ton właściwy, zarówno zrozumiały w najcichszym szepecie, jak w pełnym wybuchu najsilniejszej namiętności.

Gorączkowa działalność, z jaką artysta przez lat tyle oddawał się nauce ról i odgrywaniu ich, musiała szkodliwie wpłynąć na jego system nerwowy, nawet na funkcyę wewnętrznego organizmu.

Zliczyć wszystkie jego role niepodobna prawie, ale wspomniemy najważniejsze:

Z dzieł: *Szekspira*, Ryszard III, Hamlet, Othello, Mackbet, Lear, Merkurio, Falstaff, Schylock, Antoniusz, Benedykt.

Moliera: Skąpiec.

Lessynga: Marinelli, w Emilii Galoti; Natana i Derwisza w Nathanie; Riccaut, w Minie.

Szyllera: Fieska, Muley Hassana, Wallensteina, Buttlera, Franciszka Moora, Filipa w Don Carlosie.

Göthe: Księżę Alba, w Egmoncie; Carlos w Clavigo; Mefistofel i Walenty w Faustie.

Laubego: Monaldeschi, Struensee, Pan von der Same, Roccoco, Szyllera.

Perrina, w Donnie Dianie, Michonnet'a w Adryanie Lecouvreur, Henryka: Laur i kij żebraczy i t. d.

Już w roku 1846, kiedy pracował nad wymową, aby z polskiego zostać niemieckim artystą, szerzyła się wieść, że utracił zmysły. Szczęściem naówczas mógł sam jej zaprzeczyć, ale w latach 1868-9 już zaprzeczenie stało się niepodobnem.

Najświetniejszym wezwaniom z Petersburga, Wiednia, Pragi, Pesztu, Berlina, Lipska, Hanoweru, Drezna, musiał odmówić. Utrzymywano z razu, że stracił pamięć. Dawison, który nie tylko własne role, ale i całe sztuki umiał na pamięć i grywał bez suflera, który przez 25 lat przeszło 500 ról nauczył się i grał, Dawison stracił pamięć!

Nie, to nie była utrata pamięci! W rysach jego twarzy nie widać było wielkiej zmiany, oko błyszczało jak niegdyś ogniem i życiem, ale zaledwie mówić zaczął, czuć było, że siły już złamane. Donośnym i czystym głosem wypowiadał pierwsze wyrazy, ale po kilku słowach, mowa stawała się coraz niewyraźniejszą. Wówczas spoglądał smutnie na żonę, która nie odstępowała na chwilę od jego boku, milkł nagle, aby powtórzyć z trudem to, co mu żona poddawała z cicha. Nie domyślając się smutnego wrażenia, jakie sprawiał na obecnych, powtarzał ciągle, że wkrótce wróci na scenę. Myśl rozpoczęcia na nowo artystycznej pracy, tak ożywczo działała na niego, że otaczający usiłowali podtrzymywać ją jak najtrójskliwiej. Od czasu do czasu przygotowywano kostiumy, odświeżano je, podawano mu gazety, zapowiadające blizkie jego ukazanie się na scenie, a w dniu 1 lutego o godzinie 9-jej i pół wieczorem, po długich cierpieniach, zakończył życie, zostawiając w rozpaczony małżonkę i syna, i pograżoną w smutku scenę, która teraz dopiero czuje wielkość poniesionej straty!

PRZEGLĄD LITERACKI.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 11.)

Bożek Milion powieść przez Waleryę Marrené (Morzkowską). Warszawa, 1872. — Nemezis przez tęż autorkę. Niecnota, powieść p. Zbigniewa, 1871., Wychowanka, powieść ze stosunków galicyjskich z 1848 r., przez Alberta Gorowskiego. Kraków 1871. — Nieszczęsny Legat przez J. K. Turzkiego. Poznań. 1871 — Opowieści stepowe p. Paulina Stachurskiego, Lwów. — Kraków przed czterdziestu laty p. Walerego Wielogłowskiego. (Wydanie pośmiertne), Kraków 1871.

Z jaskiń wiejących mrokiem i chłodem wyjdźmy na światło dzienne, ażeby spojrzeć na twarze znajome sercom i oczom naszym. Znajdziemy je w powieści Zbigniewa p. t. *Niecnota*. Utwór ten przypomina dom zaludniony, a nawet przeludniony rozmaitemi, nader żywymi osobkami. Niewiadomo jak się tu one zeszły, nie bardzo wiele mają tu do roboty; lecz wszystkie są charakterystyczne, ruchliwe, uwijają się ustawicznie i przyjemny dla oka sprawiają widok. Czasami jednak zdaje się czytelnikowi, że pierwsze jego wrażenie było złudzeniem, i że to nie dom lecz jasełka olbrzymie z Herodem i Lucyperem, z Judaszem i Hołfernesem, z królową Gieniewrą i arlekinem. — Sprzeczność ta wrażeni wypływa z zalet i wad *Niecnoty*. .. Pierwszych wprawdzie nierównie więcej — i całość zaszczytnie świadczy o talencie autora.

Treść *Niecnoty* jest bardzo zwyczajna, co bynajmniej nie czyni ujmy autorowi. Bogaty i piękny panicz (Gesztorp) kocha się szalenie w wykształconej ekonomównie, Natalii. Matka bohatera, dumna podkomorzyna, znając, „wichrowatą” naturę syna, zgadza się pozornie na ich małżeństwo, wymagając tylko trzech miesięcy rozłąki dla wypróbowania uczuć obojga. Po wyjeździe syna do Warszawy, nabożna magnatka rani najboleśniej serce przyszłej synowej, obraża jej godność i zmusza do ucieczki z domu do jakiegoś krewnej, mieszkającej w Kobryniu. Panicz wraca do domu, znajduje sławę swą ukochanej spotwarzoną, i niedowiadując się nawet o miejsce jej pobytu, wyrusza w daleką podróż, bajronizuje, poluje na lwy dla *emocyi*, zwiedza Jeruzalem; nareszcie wraca do kraju i z namowy stryja żeni się na zimno z ładniutką milionową lalką. Po ślubie p. Witold czytuje Biblię i *Tomasza a Kempisa*, a żoneczka tymczasem nudzi się, następnie wesoło się bawi, a w końcu depece wiarę małżeńską. W chwili gdy uprzedzonemu o zdradzie mężowi zagraża utrata czci, a może i życia, Natalia poświęceniem się bezprzykładnem zasłania winę żony, a gdy potem wykrywa się jej ofiara, następuje rozwód i drugie szczęśliwsze małżeństwo.

Streszczenie to jednak nie wiele mówi. Urok *Niecnoty* polega na mnóstwie odrębnych postaci i scen, które jak rzeźba na średniowiecznych stalach, otaczają główne osoby. W tym względzie autor jest niewyczerpany, może dla tego, że zakopalnie różnorodnych wzorów służyła mu natura, że jak sam mówi, stara się dawać czytelnikom fotografie, nie zaś bohomyzy fantastyczne.

Jeden wielki, zasadniczy, widzimy w *Niecnotcie* błąd: mianowicie autor nie zna bohatera swojego i traktuje go zanadto na *seryo*, w nieodpowiednim tonie. Szukając wzorów gdzieindziej, sądziłobyśmy, że typ Witolda najbliższy jest spokrewniony z Thackeray'owskim Pendenisem, i autor powinien był mówić tak samo o swoim bohaterze jak Thackeray mówi o Pendenisie — z humorystycznym, życzliwym lekceważeniem, rzewnie i satyrycznie zarazem. Tymczasem Wi-

told postawiony jest na szczydła Child-Harolda... Autor nazywa go bajronistą. Czem jest bajronizm?... Spójrzmy na pierwowzór jego, na samego lorda-poetę. Widzimy tam olbrzymie serce w szamotaniu się z przesadami świata, rozpaczne uczucie niemocy własnej w obec milionowych tłumów, gorącą miłość ludzkości i kraju z pogardą obecnego ich stanu, chwilowy szal celem zapomnienia boleści swojej, nareszcie rzutkość do czynów, skoro te odpowiadały ideałom poety. — Czy byli u nas bajroniści? — Z pewnością byli, ale nie ci, którym nadawano tę nazwę. Burzliwość ojców naszych nie była bajronizmem, równie jak nie jest nim przesył, szaleństwo i wygórowana próżność potomków. Nie takie jest zdanie autora *Niecnoty*. W ustępie o bajronistach mówi on z zastosowaniem uwag swych do Witolda: „Życie ich burzliwe, a samowolne wylewa się po same brzegi; pragną użycia dla zapełnienia w sobie żądzy ciekawości. Gdy ciekawość zaspokojona, wnet po niej rodzi się nuda ciężka, mglista, ołowiana. Chcąc rozpedzić tę martwicę, rzucają się na oslep w szal, jakby szalem można było zakłąć jakie zło.... słyszałem, że niby się rodzą takie nieszczęśliwe organizmy z piersią Prometeusza, w którą sęp żarłoczny zapuszcza wieczne swe szpony, z pragnieniem Tantala nigdy niezaspokojonego i z wyobraźnią skrzydłatego orła, który wiecznie szybuje pod obłokami, i zaziera słońcu w oczy.... Podkomorzycze ożenił się aby zabić w sobie tęsknotę i zapełnić czemś tę próżnię co go wiecznie trapiła. Pojął kobietę zimną i prozaiczną dla tego jedynie, by zadać kłam uczuciu i prawdzie. Śmiał się i szydził, by zagłuszyć rzewność i poezję. Został dobrowolnie niewolnikiem formy, by skrepić pamięć przeszłości, którą starał się zdeptać, sprofanować, zabrudzić i przekląć na zawsze.... Zmarnował uczucie piękna jakim go natchnęła czysta kobieta, a chciał je czerpać z brudnej kałuży; zmarnował wiarę, a zapełnił próżnię po niej sceptycyzmem, który mu nigdy nie dawał spokoju; zmarnował nareszcie młodość w gonitwie za wrażeniami, okupując je złotem, i wyparł się przed ludźmi wszystkiego co było w nim prawdą...” Czy to bajronizm?...

Spółeczeństwo nasze wydaje wielu *niedorostków*, czyli — mówiąc wyraźniej — charakterów niedoroslých do pewnego idealnego typu — dla tego to wiele jest u nas tak zwanych *pseudów*.... Mamy pseudo-hetmanów, pseudo-polityków, pseudo-arystokratów, pseudo-poetów, pseudo-pozytywistów, nareszcie pseudo-bajronistów. Takim też pseudo-bajronistą był Witold — i na każdym kroku, pomimo woli autora, zdradza naturę swoją. Czy w Kobryniu tańczy mazura, czy zaleca się do pięknej separatki, czy z ironią żegna wierszami swą ukochaną, czy żeni się z bogatą i pustą Sylwiną, czy waleśa się za nią bez potrzeby po jarmarkach i wodach, — zawsze jest to znudzony i próżny, umiający stać w estetycznej pozie na piedestale, chociaż z kądinąd pocziwy człowiek, ale bynajmniej nie bohater, na jakiego wykierował go autor. Wypadało pilniej rozpatrzeć się w istocie tego charakteru, bez względu na rodzicielską miłość, a uniknęłoby się wielu niestosowności. W obec istotnej wartości jego, śmiesznymi wydają się opisy wszechmogącej władzy Witolda nad kobietami: „Miał oczy duże, magnetyczne, w które niebezpiecznie było kobiecie długo patrzeć, bo owładał niemi każdą bezwarunkowo. Znał też siłę tych swoich oczu, i więcej niż słów używał ich pomocy. Mógłby iść o zakład, że każda w nim się pokocha...” albo następujący portret: „Był on obłokiem pędzonym wichrami po lazurze nieba, był zarazem

chmurą i błyskawicą; był grą kolorów odbitych w zwierciadle wód morskich, był czarem wieczoru letniego w śród ciszy wiejskiej, był muzyką orkanów rozwścieczonych, był pieśnią ludu na świeżej mogile, był miłosnym nokturnem słowika"... Raz tylko bohater przemawia rozsądnie: „Trzeba też

nareszcie czémś się zająć. Dość tej bezcelowej włóczęgi po świecie... Chciałbym poznać nasz lud i jego potrzeby: bo dotąd ani oni znają tego komu służą, ani my ich znamy, choć bierzemy ich pracę" —lecz słowa te pozostały bez następstw, bo wkrótce potem spotykamy bajronistę naszego na maskaradzie w Wilnie; a latem w Druśkienikach, razem z wesołą Sylwiną.

Tak więc szanowny autor zbłądził otaczając bohatera swojego aureolą poezji i niepospolitości. Jest to zwyczajny śmiertelnik, i jako takiego traktować go należało. Za to niewypowiedzianie piękną jest postać Natalii od kolebki aż do ostatniej chwili. Patrząc na nią, mimowoli przychodzi na myśl owe czyste litewskie dziewice zwane Wajdelotkami, których każda myśl, każdy czyn poświęcony był bogom. Przed katastrofą, która wygnała ją z domu rodzicielskiego, widzimy ją żyjącą w krainie wysokich myśli, podniosłych uczuć i bohater-
skich czynów, jakimi ją otaczał świat książkowy... Witolda kochała namiętnie, bezbrzeżnie, widziała w nim nie czło-
wieka, tylko półboga; a jednak nie zdradzała swojej tak wielkiej miłości; powiedziała sobie: „Kochaj, cierpi giń! ale nigdy nie zakłóć spokoju tych, których kochasz". Następnie widzimy ją kobietą dwudziestotrzyletnią, pełną spokoju i niezachwianej pewności siebie. W poświęceniu i cierpliwości upływało jej życie. Nareszcie

uświęca się ofiarą, do jakiej tylko serce ludzkie zdolne być może: — niewinna, poświęca dobre swe imię dla szczęścia ukochanego. Jest to jeden z najpiękniejszych typów niewieścich, jakie istnieją w literaturze naszej.

Nadzwyczajnie wybitną postacią powieści jest

proste narzędzia, potrzebne jej w życiu doczesnym, bo ułatwiające przejście do nieba po wsochdach cnót teologicznych... Synowi chciałaby sama wybrać tę, którą mu Bóg przeznaczył. Jednakże podkomorzyna kocha syna, i w końcu nieszczęścia jego łamią pychę matrony. Mamy

tu zarzut do zrobień. Z powyższymi rysami nie zgadza się przebiegłość i jezuitizm, użyte do rozerwania stosunków pomiędzy Natalią i Witoldem. Dusze podobne zanadto są harde, ażeby poniżać się do wybiegów... Rozkazuja, a w razie nieposłuszeństwa — przeklinają.

Dalekie pokrewieństwo duchowe łączy Witolda z Celiną, emancypantką kapryśną i zdenerwowaną, którą autor odmalował *con amore*. Jest to chorobliwy plód złego wychowania, próżniactwa i hołdów światowych. Do tego należy dodać namiętność, bujną wyobraźnię i dobre serce. Autor nie idealizuje tej dziwacznej postaci — i ztąd to pochodzi jej wielka udatność i naturalność. Żyje ona tylko obecną chwilą, dniem i godziną, szaleje za Witoldem i na każdym kroku popelnia niedoręczności.

Hrabiego Tadeusza autor usiłuje wystawić jako ideał zacnego obywatela. Nie bardzo mu się to powiodło. W najlepszym razie jest to pocziwy, ale nie zręczny stryjaszek. Kto wie, czy nie słusznie o nim po-

wiada Celina: „Jakaż to naprzykład cnota hrabiego? Że daje ubogim pieniądze? bo ma ich dosyć, więcej niż potrzebuje, a z natury nie ma choroby skąpstwa. Nie kłamie i nie udaje, bo już stary, a kto wie czy był takim za młodu; że pali prawdę ludziom w oczy, to więcej z usposobienia do gderactwa, niżeli przez



KWIAT ZA KWIAT.

Ty chcesz odemnie tej pięknej róży,
Dam ci ją, ale dobrze zważ
I jeśli nie chcesz mnie prosić dłużej,
Coś w zamian mi od siebie dasz.

(64).

podkomorzyna, matka Witolda. Jest to pani surowa i dumna, z liczby tych, które klęcząc nawet przed wizerunkiem Chrystusa na krzyżu oddają mu cześć jako synowi Dawidowemu, nigdy zaś jako synowi ubogiej Maryi i biednego cieśli... Ludzie, którym wyświadczała swoje „łaski“, nie byli to wcale jej bracia odkupieni krwią Zbawiciela, ale

miłość onej. Słowem jego cnota wydaje mi się bardzo łatwą...“ On to właśnie żeni synowca z Sylwiną i wypowiada aforyzm, który posłużył za temat do wstępnego artykułu jednego z tygodniowych pism naszych: „Opinia, opinia! to wielkie słowo i wielkie nie. Co to jest w ogólności opinia?— skład ludzkich głupstw na jedną kupę, w której wszyscy grzebią jak kury w śmieciisku...“ Ani moralnie, ani estetycznie!..

Ksiądz Anzelm, kapelan podkomorzyny, jest automatem; nie bardzo jednak raz przesuwając się po scenie powieści.

Postaci marszałka i marszałkowej nie ulegają najmniejszemu zarzutom. Zapewne to fotogramy osób rzeczywistych, zdjęte z niepospolitą zręcznością. To samo stosuje się i do panny Sylwiny. Wie ona, że jest bogatą i ładną, że świetnie pójdzie za męża i zostanie wielką damą, że nosić będzie ciężkie materye, ubierać głowę w pióra i w brylanty, oddawać sama wizyty i być

Do postaci skarykaturowanych, acz wysmienitych w swoim rodzaju, należy p. Ignacy, tufacki marszałek i nieszczęśliwy pochlebca, wiecznie mistyfikujący wszystkich bezmyślnym przygrywką *tego... ten oto... roztego*, i poczciwy pan Żuk, straszliwy tchórz i mniemany wieszak powiatowy....

A pani Rózcycowa? Cóż to za pyszna osobistość, ukazująca się zaledwie na jednej kartce: „Pani Rózcycowa z Dziewiątkowicz znaną była z dwóch rzeczy na cały powiat: to jest z konfitur doskonałych, smażonych jej własną ręką, i plotek przeróżnych, opowiadanych jej własnym językiem. O czem nikt jeszcze nie wiedział, o tem z pewnością pani Rózcycowa już wiedziała; a wiedziała tak detalicznie, że ją powszechnie nazywano kroniką miejscową. Sąsiadom dawała słodkie konfitury i wypyttywała o wszystko. Ale nie tylko sąsiadów: wypyttywała sług i posłańców, wypyttywała się żydówek

cznie zaleca powieść Zbigniewa. Dodajmy do tego małowartość opisów (przepyszny opis kontraktów kobryńskich), giętkość i energię stylu, głęboką rzewność ustępów uczuciowych, a śmiało możemy powiedzieć, że *Niecznota* jest wcale niepospolitym utworem. Z wad jego, oprócz tych, o których mówiliśmy wyżej, wymienimy: niedokładne uporządkowanie obrazów, natłok osób i scen, szczególnie w drugiej części, i słabość autora do dowcipkowania. Wprawdzie dowcip jego jest zwykle czystej wody, lecz często osłabia potęgę myśli, rozkrapając się na koncepta, jak śpiew na fioritury zbyt liczne. Na końcu życzymy autorowi wznioślejszych ideałów.

(d. c. n.)



Na ślizgawce.

(62).

niezależną we wszystkiem. Jakoż zostaje wielką damą, co było marzeniem we śnie i na jawie całego jej życia... płoża i próżna z natury, znudzona powagą męża, szukała rozrywki, nie więcej, i sama nie wiedziała, jak ją ta rozrywka daleko zaprowadzi. Koniuszyc, nieszczęśliwy urodziciel jej, wydaje się nie tak czarnym jak bladym.

Ojciec Natalii Ryngajło, ekonom podkomorzyny, chociaż w wielu rysach prawdziwie typowa postać, czasami jest za jaskrawy i zanadto zapomina o swojej osobistości i prawach serca... Odrzuca zapisaną sobie testamentem podkomorzego wieś, dla tego tylko, ażeby pozostać ekonomem; oburza się na myśl wydania córki za podkomorzycę, i z dzieckiem własnym postępuje tak po tyrańsku, że czytelnik doznaje oburzenia i nigdy już nie może się pogodzić z p. ekonomem, choć autor widocznie usiłuje go zrehabilitować szeregiem scen, zładnaw pięknych i rozrzuwających.

kobryńskich kupując u nich wstążki i tasiemki, wypyttywała się nawet żebrzących dziadów, dając im grosz i kawał suchego chleba. Niedziwota też, że pani Rózcycowa była swego rodzaju gazetą, wszystkowiedzą, a po prostu plotkarką... A miała dziwną słabość do rozprowadzania ludziom tych właśnie nowin, które im przykreść lub boleść sprawiały. Na to nie dla niej było dnia dość brzydkiego ani słoty, a nawet choroby. Nieraz cierpiąca na fluksję, obwiązana, obłożona materacykami z kamforą, kazała zakładać konie do koczobryka, i puszczała się po najgorszych drogach, by zakomunikować drogiej przyjaciółce, że o niej takie a takie rzeczy mówiono.

Nie godzi się również przemilczeć o wybornych postaciach sędziny Szemiotowej, pani Maciejowej, Dębisi (dziennik jej), Domiceli i stariej Tatiany. Autor celuje w szkicowaniu rozmaitych typów służebno-szlacheckiej sfery, choć nieraz je karykaturuje.

Wszystko, co powiedzieliśmy wyżej, dostate-

NIEMIASY W XIV WIEKU.

Ustęp z dziejów obyczajów średniowiecznych.

przez Wł. Chomętowskiego.

I.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 11).

Rozgniewany Filip VI postanowił zgubę Monforta. Rycerze francuzcy poprowadzili Karola de Blois do Nantes. Miasto to i niektóre inne twierdze poddały się Karolowi. Książę Jan wzięty do niewoli i odesłany do Paryża, osadzony został w Luwrze, z rozkazu króla, następnie w 1345 roku uciekł z więzienia i schronił się do Anglii, gdzie wkrótce życia dokonał. Nie skończyła się atoli sprawa zatargów o tron Bretanii, bo w czasie nieobecności Monfort'a żona jego

Joanna z Flandryi, stanęła w obronie praw męża i małego syna.

Dzielną niewiastą na koniu i w zbroi, trzymając na rękach dziecię, zagrzewała żołnierzy i lud do dochowania wierności, mówiąc: „Uwięziono waszego prawego księcia, nie upadajcie przeto na duchu. Mój syn z łaski Boga będzie jego następcą i pozostawi potomków.“

W częstych wycieczkach opatrywała Joanna twierdze w żywność, wzmacniała załogi i wypłacała żołd żołnierzom. Mieszczanie w Rennes przychylni byli Monfortom, atoli ściśnięci oblężeniem poddali się Francuzom i Karolowi de Blois. Joanna schroniła się do Hainebonu, z kąd wysłała do króla angielskiego poselstwo z prośbą o posiłki. Tymczasem rycerze francuzcy oblegli miasto. Nieustraszoną panią na pięknym koniu, w szyszaku i błyszczącej zbroi przebiegała często ulice miasta, zatem wydawała rozkazy i zagrzewała mieszkańców do obrony. Wzruszeni widokiem jej bohaterskiej odwagi, wszyscy bez wyłączenia płeć i wieku, brali udział w walce i obronie. Kobiety zamężne i panny nosiły kamienie, garnki z ukropem i inne przyrządy do rzucania na głowy oblegających. Joanna wstępowała często na baszty, z których przypatrywała się nieprzyjacielskim ruchom. Owoż za-uważała pewnego razu, że prawie wszyscy rycerze wydali się z obozu, w celu przypuszczenia szturm do miasta. Zbiega czémprędzej z baszty, dosiada rumaka i na czele trzystu ludzi pędzi przez bramę wolną od napaści oblegających, następnie lotem błyskawicy dostaje się do obozu. Tu samych tylko znalazłszy pacholców, rozkazuje podłożyć ogień pomiędzy namioty.

Rycerze francuzcy spostrzegłszy płomienie i w kłębach dymu hufiec zbrojny, krzyknęli: „zdrada!“ odstąpili od oblężenia i pobiegli ku stronie obozu. Wtedy Joanna zbiera pośpiesznie swych żołnierzy, ale nie może powrócić do miasta, więc chroni się do zamku d'Auray. Tu ściągając pod swą chorągiew świeży zastęp ochotników, w ilości pięciuset jeźdźców. Wzmocniona tak znacznym posiłkiem, wyrusza ku Hainebonu, przedziera się przez szeregi nieprzyjaciół i staje niebawem wśród oblężonych mieszkańców, którzy ją z radościami witają okrzykami.

Było to około 1342 roku. W ciągu długiego oblężenia, w Hainebonie wyczerpywały się ostatnie zasoby. Jedyną pokładano nadzieję w rychłym nadejściu posiłków z Anglii. Codziennie i pokilkakrotnie z okien starego zameczyska wyteżała wzrok Joanna ku stronie morza. Owoż pewnego razu serce zabiło jej gwałtownie na widok ukazujących się na widnokręgu okrętów. Nie omyliło ją teraz przecucie. Las masztów i białych żagli rysował się coraz wyraźniej na ciemnym tle morza. Przekonała się wkrótce, że dzielni jej obrońcy przybijają do lądu.

Skoro Gautier de Mauny na czele licznego angielskiego rycerstwa stanął na brzegu, wybiegli na jego spotkanie Francuzi i zagroźli mu drogę wiodącą do zamku. Wtedy wódz dzielny uczynił ślub obyczajem rycerskim, w słowach następujących: „Bogdajbym nie otrzymał nigdy pocałunku kochanki, jeżeli przestąpię próg zamku, niepołożywszy trupem nieprzyjaciela“. To powiedziawszy skinął na towarzyszy, których w pojęciu rycerskiego honoru wiązała przysięga wodza. Rzucono się na oslep ku wyzywającym Francuzom i po krótkiej walce złamano i rozproszono ich zastępy.

Gautier de Mauny na czele zwyciężkiego rycerstwa kroczył ku rozwartym bramom zameczyska. Joanna wybiegła na ich spotkanie. W uniesieniu wesela i wdzięczności całowała wodza i in-

nych po kolei rycerzy, po dwa i trzy razy, według słów kronikarza, „jako dzielna, mężnego serca pani.“

Pomimo walecznej obrony sprzymierzonych i mieszkańców, Hainebon równie jak Rennes i inne miasta został wzięty przez Francuzów. Joanna wyparta przez Karola de Blois z Bretanii schroniła się do Anglii.

Edward III nie odmówił znów posiłków, na czele których hrabina Monfort odbiła od brzegów. Na morzu spotkały się angielskie okręty z genueńskimi, sprzymierzonymi z Francją. Przewodniczyła flocie angielskiej niewiasta łwiego serca i z piorunującym mieczem w dłoni. Wydawała ona rozporządzenia z roztropnością doświadczanego wodza.

Bitwa rozpoczęła się późno, więc zawieszono walkę z nastaniem nocy. Nazajutrz równo ze świtem miał się rozstrzygnąć los bitwy, atoli burza uniemożliwiła dalsze działania.

Wyładowała Joanna szczęśliwie wraz z Robertem d'Artois w Bretanii, pod Hainebonem. Niezwłocznie przystąpiono do oblężenia miasta Rennes, w którym przewodziła znów dzielna niewiasta.

Skoro stanął na brzegach Bretanii król Edward III, przybrała walka obszerniejsze rozmiary. Anglia z Francją w całej zbrojnej potęgę gotowały się do krwawego starcia, kiedy papież Klemens VI oświadczył się z chęcią pośredniczenia między walczącymi stronami. Przybyli w jego imieniu na teatr wojny dwaj kardynałowie i skłonili królów do podpisania rozejmu. Na mocy rzeczonych układów rzekli się obaj monarchowie dopomagania walczącym stronnictwom w Bretanii. Tak więc sprawę o dziedzictwo książęcego berła pomiędzy rodziną Blois i Monfort, pozostawiono własnym ich siłom.

Atoli zgoda królów była tylko pozorną. Filip VI podał wkrótce powód zerwania przymierza, ukarawszy śmiercią oskarżonych o zdradę rycerzy bretońskich. Edward III zaprotestował przeciwko wyrokowi temu, wypowiadając wojnę Francji. Wtedy to walczył po stronie Filipa Jan Luxemburezyk król czeski. Znany on jest w naszych dziejach z intryg i knowania z krzyżakami. Ale w cyklu romantycznych rycerzy średniowiecznych, przedniejsze zajmuje miejsce. Nie zadowolony ze sławy szermierza w turniejowych szrankach, szukał oryginalnego rozgłosu. W błyszczącej zbroi, na pięknym koniu, jeździł z grodu do grodu i godził poważnionych, za co otrzymał nazwę króla pokoju. Ale dopiero w wojnie z Anglikami—sprzymierzeniec króla francuzkiego dostąpił najgłośniejszego uznania. Oslepiony w walce przyjął przeciw udział w bitwie pod Crecy, gdzie z przeciwniej strony znajdował się Edward III z szesnastoletnim synem Edwardem Czarnym. Kiedy oznajmiono Janowi, że szala zwycięstwa przechyla się na stronę Anglików, rozkazał towarzyszącym mu rycerzom, aby związali jego konia ze swemi, poczem wydał hasło boju i rzucał się między nieprzyjacielskie szeregi. W rozpaczliwej tej walce, zadając na oslep ciosy, padł okryty ranami. Edward III wyprawił mu suty pogrzeb i na znak szczególnej części przywdział jego godła.

W tymże 1346 roku, Karol de Blois na czele posiłków francuzkich wtargnął do Bretanii i okopał się pod murami twierdzy de Roche de Rien. Joanna Monfort z pomocą hufców angielskich pośpieszyła na odsiecz, zdobyła okopy, rozproszyła wojsko Karola de Blois i pojmowała go w niewolę. Wtedy na widowni walki ukazuje się druga niewiasta. Żoną Karola, w czasie uwięzienia męża, podtrzymuje swe prawa do tronu Bretanii.

Jednocześnie odznaczyła się w Anglii bohaterską odwagą Filipa żona Edwarda III. Dawid Bruce król szkocki, korzystając z nieobecności angielskiego króla, najechał jego dzierżawy. Filipa zbiera naprędce wojsko, porucza dowództwo lordowi Piercy i sama bierze udział w wyprawie. Kiedy spotkały się wojska, biegła królowa konno na czele szeregów i zagrzewała rycerzy do wytrwałości i zwycięstwa. Los bitwy rozstrzygnął się na korzyść Anglików. Filipa osadziwszy pojmanego króla Dawida w więzieniu, pośpieszyła do Calais i oznajmiła mężowi o odniesionym zwycięstwie. (d. c. n.)

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 11.)

Stuknął pięścią o stół tak mocno, że się wszystkie kieliszki powywracały, i porcelana płacziwie jęła. Widząc brew namarszczoną i gniew, jedną z pań, małą, fertyczną i ciekawą, z czarnymi oczyma i brwiami aksamitnymi, wybielona i wymalowana, a muszkami upstrzona, przybiegła nagle, sparała się na ramieniu Zygmunta poufale, i nagadawszy mu coś na ucho, małą rączką kląpnęła go po twarzy...

Zygmunt się odwrócił, chcąc za to uderzenie ukarać, gdy jejmościanka poskoczyła w powietrzu jak fryga, określiła się, uderzyła raz jeszcze, skoczyła na krzesło, z krzesła na stół, między wazony i kieliszki, ominęła je szczęśliwie żadnego nie potraciwszy, furknęła na prawe krzesło, usiadła w nim poważnie bardzo i pokazała Zygmunsiowi dwie różowe figi z dodatkiem niemniej różowego końca języczka. Odbyło się to tak szybko że Pięćka nie miał czasu wydobyć się z krzesła, a Ziembka zdumiony wywrócił swój kieliszek i rozlał wino... Grzmot okłasków zgromadzenia nagroził zręczność balleriny. Któż inny jak tancerka mógł takiej sztuki dokazać?

Śmiech powszechny powitał też bezsilne usiłowanie Zygmunta, który chciał się dostać do winowajczyni, ale ręce wszystkich współbiedniaków łapały go i zatrzymywały na drodze, arlekin go bił dostawszy łopatkę z za krzesła, podstawiano nogi i krzeselka, lano mu wodę za kołnierz, na ostatek jegomość w peruce zręczniej zdejawszy ze swój łysiej głowy, wrzucił Zygmunsiowi na odwrót, tak że jej tylne pukle oczy mu zasłoniły...

Dziembka patrzył, nie wiedząc czy bronić Zygmunta, czy śmiać się, czy uciekać... Zamęt był straszny, lecz skończył się w sposób bardzo osobliwy: porwano pana Piętkę pod ręce i całe towarzystwo tańcząc na zabój, miotając się, szalejąc, śpiewając wyleciało z nim do pierwszej sali... Tu rozpoczęto prawdziwie piekielne tany, z takimi podskokami, wyciem, świstem, wyłamywaniem po stołach, krzesłach, kanapach i po podłodze jakby szal jakiś owładnął niemi...

Dziembka wstał od stołu i patrzył przecierając oczy... Niektóre z tanecznic i tancerzy siadali na ziemi, inni skakali im na ramiona, wywracano koziołki... zdawało się, że wszyscy kości połamać muszą i karki pokręcić. Skończyło się to jednak na takim znużeniu, iż popadali na podłogę jak porozbijane lalki

W pośrodku dyszał Zygmunt dobywszy się na wpół z peruki, ale śmiał się i trzymał za boki.

— A co Dziemba! krzyknął, a czy u nas się tak bawić umieją? To szatany wielone te Francuzice, Włochy i Cygany... Ledwie po chwili Zygmunt się zwłóknął jakoś próbując krzyżów czy mu ich nie połamano i pokuliwając na nogę... Ubiór jego, a przebrał się tu oczywiście z niemiecka już, poszarpany był w kawałki, koronki wisiały w strzępkach, kamizola nie miała guzików, poly jednej u fraka brakło, bo została na podłodze... z żabotów wisiały ruiny i pończocha nawet jedna zsunęła się na trzewik...

Nie lepiej mieli się i drudzy, szczególnie panie, których fryzury się porozpuszczały a suknie na robronach świeciły otworami... Śmiano się jednak serdecznie, zbierając zaraz potraczone łańcuszki, naszyjniki i kolce.

Zygmunt padł na krzesło ocierając pot z czoła.

— Cóż ty Dziembo na to?

Julek ramionami ruszył: — Trzeba żelaznych ludzi żeby się tak bawić mogli! rzekł cicho.

— I są żelazni! odparł Zygmunt, piją, skaczą, wrzeszczą dzień i noc, a nic im nie szkodzi! To dopiero mi ludzie i to mi hulanka! A u nas! E! dodał, kapucyny!

Chwilę odetchnąwszy Zygmunt zwłóknął się, podszedł do małej owiej z grubemi brwiami, coś jej poszeptał na ucho, coś ona jemu... dał znak Dziembie i wysunęli się drzwiami ku wschodom. Ale w takim stanie w jakim Piętka się znajdował, nie sposób było pokazać się na ulicy, zajrzał więc do małej izdebki gdzie znaleźli krawca nad robotą i fryzjera przy peruce, około której z żelazkiem tańczyli; ci dwaj artyści wzięli go na kwadrans w opiekę, polatali, posztywali, oczyścili, Zygmunt dostał jakiś płaszczyk na ramiona i wspaniale Niemców nagrodziwszy, spuścił się z Dziembą ze wschodów...

— Gdzież pan mieszkasz? zapytał go Julek po drodze?

— Nocleg czasem gdy się bardzo spiję odprawiam w ciupce pod Trębaczem, rzekł Piętka — a resztę dnia to się człek tam i sam bałamuć.

— Gdzieżbyśmy pogadać mogli? dodał Dziemba.

— Hm... może na wino gdzie wstąpićby trzeba, bo mi od tego szalonego tańca w głębie zaschło — zamruczał Piętka — jak ci się zda?

— Nie wiem, ale i pod Trębaczą zajrzeć trzeba, bo tam Janek z głodu mrze i konie żłoby gryzą... gospodarz im już nie daje.

— Stłukę bestię na miazgę! krzyknął Zygmunt...

— Wiesz pan co? jeśli tak ma być — ja z panem nie idę — rzekł namysłiwszy się Julek — nas tu mało a Niemców siła, pan jednego zacznieś tłuc, oni nam wszyscy na karki siedzą i z życiem nie ujdziemy...

— Ale gdzie zaś! zawołał Piętka spokojnie — ja będę którego chcę tłuc, oni będą patrzeć. To tylko bieda, że pozwą do sądu, poświadeżą i każą tak zapłacić, że wszyscy razem tego nie warci — ot dla czego tylko mu w kącie uszu natargam. Bądź ty spokojny, ja już ich znam.

Poszli tedy razem pod Trębacz. Zygmunt się z gospodarzem w kącie rozprawił tak, że ten raz tylko kwiknął i wrócił do Dziemby. Izdebka, w której mieszkał, po paradnych salach opuszczonych przed chwilą wydawała się bardzo smutnie. Okno wychodziło w podwórze... Łóżko było pierzynami nabite, ale wąskie, stół chwiejący się, a krzeselka jakby po przepiciu, niepewne na nogach.

— Cemuż pan sobie uczciwszego mieszkania nie poszukasz? spytał Dziemba.

— A mnie ono na co? Ja tu prawie nigdy nie

siedzę, a pieniędzy szkoda... i wiesz co, Dziembo — bodaj że mi ich już prędko zabraknie — Co tu poczynąć?

Struchlał chłopak.

— A te, któreś pan wziął z domu?

— Zacheć! toż się żyło przez parę dni po królewsku, a to kosztuje dyabelnie... mówił Zygmunt wzdykając. Trochę się przepiło, trochę przejadło, trochę przegrało, trochę z kieszeni mi wyciągnęli, o reszcie chyba kto inny wie, bo nie ja... Dobyl z kieszeni trzosika i wysypał na stół — było w nim kilkanaście dukatów i kilka talarów.

— E! e! e! zawołał, fiu! fiu! fiu! jam się tego nie spodziewał, kruszcowe skarby... jeszcze tyle. Tak z tym jak bez tego! trzeba pójść na wieczere...

— Ale panie — zaprotestował Dziemba.

— Ale milez! przerwał Zygmunt — jest tu taki co mi pieniędzy da! ale ba! tylko się przebiore i prowadzę z sobą na wieczere.

Wszystko co dotąd Dziembę spotkało, dawało mu wiele do myślenia, nawykł on był do pańskich hulanki, a bywały niektóre i bardzo ohoce i szalone, coś takiego jednak jak tu nie trafiło mu się nie tylko oglądać, lecz nawet nie marzył, by się to na świecie znalazło. Zygmunt też tu tą atmosferą zdawał się jakby upojony... Lekceważył sobie wszystko, z pogroźek żony śmiał się, ruszał ramionami i śpiewał — jutra dla niego nie było, począł Dziembie rozpowiadać o Francuzicy jaka to miła i pełna talentów kobiecina, jak skacze, jak śpiewa i jak swojego czasu poważną nawet a przyzwoitą być umie; dodał, że się w niej na zabój kocha, że jest nadzwyczaj szczęśliwy i że póty ztąd nie ruszy, choćby po niego dzień żon przyjechało, póki do dna tego kielicha nie dopije.

— Jednakże ciekawym — dorzucił Zygmunt — co ona tu ze stryjem Eligim pocnie, gdy się narzecie przywłoka? Najprzód, licha zjedzą, żeby mnie znaleźli, powtóre figle im będę płał... i zemszczę się za to przesładowanie. No! kiedy wojna! to wojna!

— A jakby się jejmość do króla udała? zapytał Dziemba.

Zygmunt za boki się wziął ze śmiechu.

— Doskonaleby trafiła! albo to on lepszy! Ale jejmość nadto rozumna, żeby miała sięgać tak wysoko... a stryj Eligi dobry na zajęcia nie na takie kozły jak ja!

Poczęli tedy pić, a że skromnego Dziemby nie dosyć było Zygmusiowi, dobrał sobie dwóch jeszcze towarzyszy i tak noc spędzili do rana... Pokładli się spać na ławach ponakrywani płaszczami, a przebudzili się aż na śniadanie.

Po przebytym dość długim i nudnym dniu w małej mieścinie, ruszyła Elżusia rano w dalszą drogę, będąc pewną, że już na nią natrętów nie spotka i bez przeszkody do celu dojedzie. Wprawdzie Borodzieza, który rodzaj zasadzki zrobił, pominęli, i ten nie pokazując się już ciągnął dalej za nimi, lecz na pierwszym popasie znalazł się wojewoda z karłami. Okazało się, że niespokojny o los pięknej pani, zatrzymał się i czekał dopóki nie nadjedzie. Zmieszało to Elżusie, lecz grzecznie przysłał do niej marszałka z oznajmieniem tylko iż radzi jej za nim się trzymając dalszą podróż odbywać, aby sama jedna nie doznała jakiejś nieprzyjemności. Nie naprzykrzał się zresztą, karły przyniosły kawę i bułki, trzeba je było przyjąć. Stryj Eligi dostał wódki i odsmażanego bigosu. Sam pan nie pokazał się nawet pani Piętkowej.

Co daleko gorzej i kwaśniej przyjęła, to drugie odwiedziny pana Seweryna Trzaski, który submitował się, rozpowiadając jakim to on osobliwym wypadkiem na tej samej drodze się znajduje i z musu, ale z wielką rozkoszą, jejmości nieraz towarzyszyć musi — Elżunia usta skrzywiła.

— Panie stolnikiewicz, odezwiała się, pan mnie nie zna, a podobno fałszywie sądzi. Im śmielej się tak w świat puszczam, tym więcej czuję, że na wszelkie względy przyzwoitości surowo zważać muszę. Nie wypada, abys pan kręcił się tu koło mnie... ludzieby posądzili go, że mi asystujesz przez jakąś atencję, której ja przyjąć nie mogę. Mam męża wierutnego łotra, to prawda — a no — jeszcze go mam, i póki jest, nikt mnie nie zechce krzywdzić zbyt niemi nadskakiwaniem, bobym się srodze gniewała!

— Pani dobrodziejo — rzekł zmieszany Trzaska — przecież jej nie chybiam tym, że się tu wypadkiem znajduję...

— Bynajmniej, ale proszę, niechże ten wypadek będzie ostatni...

Ukloniła mu się tedy grzecznie i zwróciła w drugą stronę. Trzaska ukontentowany wyleciał do sieni.

(d. c. n.)

LITERATURA ZAGRANICZNA.

Dalmatien und seine Inselwelt von Heinrich Noe, 1870.

Niedawno temu, w lipcu przeszłego roku, był w jednym z pism krakowskich (Prz. Pol.) artykuł o Dalmacyi, napisany pod wpływem świeżych jeszcze wrażeń z odbytej podróży; autor opowiada tam miejscami tak żywo, że widoki ziemi i obrazy społecznych stosunków stawają bezpośrednio przed myślą czytelnika. Mimowoli czuje się, że tego życia udziela opisom sympatya, z jaką autor patrzył na kraj słowiański i lud pobratymczy. Tej zalety żywego zajęcia nie ma książka wymieniona w nagłówku, ale jest ona ciekawa nie mniej przeto, choć w innym względzie, jako opowiadanie cudzoziemca. Opowiadanie p. Noego, choć nie odsłania nam ogólnych widoków i raczej zdawkową monetą spłaca dług turysty zdającego sprawę ze swych wrażeń i wspomnień, nie jest bez powabu, bo autor szczegółowo opowiada podjęte wycieczki lub też używa tła powieści do wysnowania charakterystyki kraju, ludzi i stosunków. Niektóre z tych powieści, np. o księdzu Laziku i siostrze Darince, albo powieść o zemście młodego pasterza nad szczęśliwym kochankiem, albo miłość Frania i Lijany, zresztą są obmyślane na to, aby na ich tle pokazać życie Dalmatyńców i właściwości kraju; autor tłumaczy się z użycia tej formy opisów, powiada, że naśladował w tym obrazy niderlandzkiej szkoły, z których kraj lepiej poznać aniżeli z obszernych i szczegółowych opisów podróży. Otoż w tym sposobie wykładu i reprodukcji doznanych wrażeń daje autor szereg obrazów wprawdzie bez obiecanego niderlandzkiego humoru i bez sympatyi, ale bardzo wiernych; wszędzie widać kraj monotony, prawie nagą skalą świecący, chłostany groźną gwałtowną borą, odsłonięty i bez lasów, z marną vegetacją, dający sprzęt tylko ciężkiej pracy; lud ciemny, żyjący w ubóstwie i w lichych chatach pospołu z dobytkiem swoim, zapomniawszy o cywilizacyi, żyjący w niepewności i trwodze przed rozbojem, podejrzliwie lub z bierną obojętnością patrzący na

to, co z obcych stron lub od sąsiadów Włochów lub Niemców do niego przybywa;— w tej monotoności wrażeń głównie wybrzeże z miastami o włoskiem wejrzeniu i niektóre okolice podgórza czynią odmianę, a szczególnie bliskość Adryatyku z archipelagiem skoliów, znużone jednostajnością krajobrazów oko wędrowca nęci ku sobie, jak kameleon zmieniający grę kolorów w różnych dnia porach. Zachwytu więc nie ma w książce, bo go p. Noe w kraju i ludziach nie znalazł; nie ma tu wieńczych egzaltowanych sentymentów o ludzie dalmatyńskim, jak w książce Karola Nodier'a, ale za to jest o tyle wierniejsza rzeczywistość, o ile pochwycona z codziennego zapatrzenia się; nawet w relacjach p. Noego jest z pewnością mniej ujemnego, niż go jest w rzeczywistości, w stosunkach kraju i ludu. O kraju w kilku miejscach powiada, że przedstawia jakby bolesne urzeczywistnienie przekleństwa w raju, lud zaś w rozproszonych po książce charakterystycznych rysach maluje chłodno, ale bez uprzedzenia; wystawia jego uposledzenia i zacofanie w przemyśle, w pracy, wygodzie życia i wszelkich stosunkach. Ciekawa jest statystyka grabieży i gwałtów (str. 61); gdyby nie żandarmi, rekrutujący się z Niemców i Słowian, którym autor oddaje największe pochwały za ich poświęcenie, bezinteresowność i poczucie obowiązku, kraj byłby oddany na pastwę „malwiwentów”; charakterystyczne jest to co powiada na jednym miejscu, że „bez parowców Lloyda nie mógłby żaden list z pieniędzmi przedostać się od miasta do miasta.” Ale Noe, który zna z gruntu całą Dalmację, który wszystko chciał widzieć, wszędzie być pragnął i często z niebezpieczeństwem zdrowia i życia puszczał się w drogę lub na morze skoliów, nie ma (jak się wyrzekło) uprzedzenia do ludu, owszem widząc jego zamykanie do poezji i śpiewu, przytacza pieśni Dalmatyńców, choć i w tym względzie nie zostawia czytelnika w iluzji, opowiadając jak monotony i na wpół dziki bez modulacji jest śpiew pasterzy (st. 209); przytacza często bardzo ciekawe podania i powieści, jak o królewiczu Marku w jaskini, który podobnie jak Fryderyk Barbarossa, czeka spełnienia czasów, aby wyjść na świat i Słowian oswobodzić (str. 136); szczególnie zaś oddaje p. Noe sprawiedliwość pracowitości ludu, który z potem czoła przymusza ziemię do wydania lichego plonu i nagą skałę zamienia na niwę uprawną; wystawia lud jako dorodny i silny, i nie dziwi, bo sam klimat wyręcza spartańskie wychowanie.

Czemuż ten lud pracowity, chętny i nie bez inteligencji jest w takim stanie opuszczenia, a nawet częstokroć materyalnej i moralnej nędzy? Autor niedwuznacznie się o tym wyraża (stron. 173): „Kraj ten był od dawna nieszczęśliwym przedmurzem zachodu od najokrutniejszego narodu na ziemi, i kto dziś na widok uposledzenia i nędzy Dalmacyi potrzęsa głową na znak potępienia, niech pamięta, że Turek przez całe stulecia pożogą jęj zagrażał, a Wenecyanin kupiec był rolnikowi panem w tym sposobie, że nieraz nie mniej przekleństwa na siebie ściągał, jak pohaniec z Altajskich wyżyn.” O obecnych rządach austriackich tak się wyraża (str. 20): „Obok uniformów, dostojników i kupeców widać lud obdarty i ciemny. Kogo dziwi grubość obyczajów

ludu i jego duch niekarny, tego powinna oburzać duchowa niedołość tych, pod których wpływem po 50 latach lud mógł w tym stanie pozostać. Z wyjątkiem fizycznej okupacji, bardzo mało znać, żeby austriacki duch i charakter wziął w posiadanie myśl i życzenia ludu. Tu wojsko, tam płacący podatki: na tym polega sztuka i talent rządzących w tym kraju. Ztąd pochodzi, że biedny chłop dalmacki z „państwa”, do którego należy, nie widzi nic innego, jak poborcę i żołnierza. Zresztą nie męczą go i nie obarczają kulturą, i nikt nie trudzi go zbyt dużą opieką. Dalmacya wedle mnie jest tylko na to, aby kilka tysięcy wojska utrzymywała, które musi się mieć na baczności, aby go kilka set ciemnych i uposledzonych chłopów w morze nie zapędziło”.

Ciekawe poczynił p. Noe spostrzeżenia nad plemiennymi sympatjami ludu i nad jego przyszłością: „Słyszałem jak nad brzegiem morza rozmawiali chłopci zajęci wykopywaniem pni z majtkami rossyjskiego okrętu wojennego, który na morzu zarzucił kotwicę. Rozmawiali z sobą bez zdziwienia nad wzajemnym rozumieniem się, z jakim lud odległego stepu (?) słuchał słów mieszkańców skał południowego morza. Widziałem medale na piersiach Morlaków, wyciśnięte na 1000 letnią pamiątkę założenia państwa rossyjskiego. A kto by chciał o tym wszystkim wątpić, niech porówna zakres myśli wielko- i białoruskiej poezji ludowej z pieśniami Dalmatyńców i Bośniaków. Nasunie się każdemu uwaga, że ludy, które tak myślą, w najgłębszym jestestwie więcej z sobą są pokrewne, aniżeli mieszkańcy nadmorskich północno-niemieckich piasków i wysoczyzn Tyrolu. Gdyby kiedykolwiek miał fatalny (verhängnisvoll) czas zawitać na naszą część ziemi, w którymby ludy bez względu na rezultaty historyi, bez względu na wszystkie sztuczne baryery, na przekór obcym swym panom, spajać się miały jako równe z równymi, i wytworzyć potworne państwa (ungeheuerliche Staaten), wtedy zobaczy świat, dokąd Słowianie półwyspu tureckiego i ich prymorye skierują chęci swoje” (str. 35). Mówiąc o Czarnogórze i opisując pewne towarzystwo w traktierni, tak pisze: „W Czarnogórze treścią wszelkich rozmów są nadzieje Serbów, siła Rossyi i wątplenie Turków. Widziałem w kole rozmawiających serbskich oficerów, i niewielu oficerów Dalmatyńców, niby słowiańskich Fenian swęj ojczyzny, której całe życie zdaje się być pasmem spisków. Wielu nosiło medalion, w podarunku licznie posłany do Czarnogórze, który wybito w Moskwie na pamiątkę tysiącolecia państwa Rossyjskiego. Tutaj cudzoziemcowi stawia żywo przed oczy ogromne znaczenie, które Rossyi przypadnie w uregulowaniu stosunków na Wschodzie” (str. 343). Na końcu książki mówi autor: „Wielka walka na Wschodzie wciągnie w swój odmet także Dalmację, i jak niepodobna przewidzieć jęj końca, tak też nie podobna odgadnąć, jaki los spotka nadbrzeże i jaki los przypadnie pobratymczym ludom za górami aż do lasów Serbii, aż do drugiego morza i do Stambułu, stolicy czarnego cara. Tyle jednak z tych skromnych wędrówek moich widzieć można, że mocarstwo, które ma posieść „kraj wysp” na zawsze, nie może poprzestać na stokach gór opadających ku Adryatykiemu morzu, ale dążyć musi

do opanowania bogatych krajów dalszych, z których rzeki do morza płyną i do których brzegi Dalmacyi w takim stoją stosunku, jak próg do domu, przez który się przechodzi do komnat i do skarbów”.

NA ŚLIZGAWCE

Opowiadanie starego mieszczanina warszawskiego.

Było to w czasach przeważnego panoszenia się peruk na głowach wszystkich znakomitości, a więc około roku 178...; byłem wtedy chłopcem dwięcioletnim i pomagałem ojcu memu, jedynemu w Warszawie podówczas dobremu perukarzowi. Zima była śnieżna i mroźna, a jak to zwykle pod zapusty, bawiono się świetnie, wizytowano i re-wizytowano w aksamitnych frakach i pięknie spiętrzonych a białych perukach: ruch był w sklepie mojego ojca znaczny.

Potrzeba było pewnego ranku kilku znakomitym panom odnieść ich sztuczne włosy, ostrożnie w pudle zamknięte, aby wychyliwszy ogolone głowy z jedwabnych nocnych czapek, i nakrywszy je peruką, mogli z kapeluszem pod pachą odbyć karocową przejażdżkę od jednych do drugich żelaznych wrzeciędzów pałacowych—bamoże i dworskich. Wziąwszy moje dwa wielkie pudła pospieszałem ku Krakowskiemu-Przedmieściu, gdy ze szczeliny pomiędzy Bernardynkami a Bernardynami ujrzałem błyszczącą równiutęnką zamarzłą Wisłę. Skoczę, pomyślałem, Grodzką ulicą, spróbuję na lodzie zwinności nóg.

Czas biegł mi niepostrzeżenie na rozpędach po wybornęj ślizgawce, a pudła stały, zdało mi się, w najlepszym i najbezpieczniejszym miejscu pod drewnianym bulwarkiem, stanowiącym przyczółek dla promów, czółen i gondol pańskich. Odbiegłem był już dość daleko od brzegu... w tém—znagła spostrzegam prześlizgującego się koło mnie staromiejskiego chłopca ubranego w perukę, za nim drugiego—i trzeciego—spoglądam na pudła... wywrócone!... biegnę do nich... o Boże! peruk nie ma, nogi podemną zadrżały; nim wszakże zdołałem opamiętać się, jedna po drugiej peruki moje padały przedemną z odgłosem upadku miękkich poduszek, zrzućane z głów psotników, którym się zacheiało użyć maskarady na lodzie...

Odgłos upadku każdej peruki i wydobywające się z nich kłęby białego jak dym pudru do dziś dnia w uszach i oczach mam przytomne, choć wówczas nieprzytomny, skamieniały z przerażenia, ledwie zdołał dosłyszeć brzmienie nad memi uszami przysłowie: „kijem tego, kto nie pilnuje swego.”

Że to przysłowie w praktyce powtórzyło się na plecach moich za powrotem do domu, łatwo odgadnąć; ale też od owej chwili nieszczęsnej do brze swego pilnowałem, i oto po wyjściu z użycia peruk, które przekląłem był wówczas, przy moim skromnym handelku kosmetyków, pachnidel i atramentu, pokupniejszego dziś niż puder, dorobiłem się przecię spokojnego kawałka chleba i dzieciom jeszcze coś grosza pozostawię.

Treść: Bogumił Dawison. — Przegląd literacki, przez L. Sowińskiego (c. d.) — Niewiasty XIV wieku, ustęp z dziejów obyczajów średniowiecznych, przez Wł. Chomętowskiego (c. d.) — Herod-Baba, powieść J. I. Kraszewskiego (c. d.) — Literatura Zagraniczna. — Na ślizgawce, (opowiadanie). — Ryciny: Bogumił Dawison. — Kwiat za kwiat. — Na ślizgawce. —